

Boiduda - Jakub Lubelski

To, co działo się w przedszkolu, było zaledwie preludium przyszłej wojny



To, co działo się w przedszkolu, było zaledwie

preludium przyszłej wojny

Boiduda

Jakub Lubelski

wydawca: Fronda

ilość stron: 177

Moja literatura jest radością sprawianą moim przodkom – niczym więcej[1].

Jerzy Pilch

Nazywam się Daniel, Jacek Daniel. Do życia rwałem się jak wariat. Zdecydowanie za wcześnie. Urodziłem się w czasie ponurym dla Polski. Ponura musiała być też porodówka przy ulicy Kopernika w Krakowie, mimo iż dowodził tam przystojny doktor Pomykało. – Tu mamy Nowy

Sącz, tu poronienie, a tu literaci – jakby błogosławiąc, wskazywał przy trzecim punkcie wyliczenia na moją mamę. W takim otoczeniu walczyła przez kilka miesięcy o życie swojego jedynaka.

W czwartym miesiącu ciąży pojawiły się niepokojące objawy. Zamiast na sylwestra, mama pojechała na klinikę. – Rodzisz, dziecko – usłyszała. Nie było mowy o jakichś spektakularnych skurczach Braxtona-Hicksa, ale fakt jest faktem, że poród zahamowano. – Pani zostaje u nas i będzie leżeć na wznak. Jeśli tylko spuści pani nogę w dół, możemy się z dzieckiem pożegnać – zapadł wyrok. Ani babcia, ani ciocia nie mogły wówczas przyjechać. Mamę zatrzymano na klinice, ale nie była pozostawiona sama sobie. Osób, które mogły jej towarzyszyć, zorganizować, co tylko było potrzebne, podtrzymać na duchu, znalazło się niespodziewanie wiele. Profesor Szturchacz (znawca pozytywizmu) regularnie wydzwaniał do profesora neonatologii, profesor Borówa był w pogotowiu. Doktor habilitowana Salaterska przychodziła codziennie z pokrojonymi jarzynkami. Między wykładem z teorii literatury a dyżurem dla studentów wpadała tylko, żeby zostawić słoik pełen treściwej zupki i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Całe to zgromadzenie w oczach przystojnego Pomykały, ale przede wszystkim w oczach mamy, przyjęło rolę odpowiedzialnych za przyszłe istnienie, zdecydowanie roztaczających opiekę, którą – co wiem od Laurence`a Sterne`a – zwykle spełnia Ojciec.

Od pierwszych dni pobytu mamy w szpitalu rozpocząłem kolejną, uciążliwą akcję rwania się na świat. Potem kolejną i jeszcze następną. Całe zastępy wspierających przyszłe macierzyństwo mamy, zjednoczone siły rodzicielskie Katedry Teorii Literatury, Katedry Teatru i Dramatu, Katedry Historii Literatury Staropolskiej, Katedry Historii Literatury Polskiej XX wieku, grupy zaprzyjaźnionych z Katedrą

Historii Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski – jezuitów, neonatologów i farmaceutów, ruszyły z kontrofensywą – hamujemy! Hold on! Jeden wlew nie pomógł, interwencja Katedry Krytyki Współczesnej, dawali drugi. Hamowanie! Cała wstecz! Hold on! Mama musiała, niczym w jakiejś conradowskiej scenerii, przybrać rolę marynarza o silnych ramionach, który mimo sztormu i szaleńczego żywiołu wód utrzyma w swych dłoniach mocno napiętą linę.

Katedra Teorii Literatury słabła na końcu, Ci nie dawali za wygraną. Igły jednorazowego użytku – doniesione. Płyn infuzyjny – załatwiony. Hektolitry partusistanu. Wlew. Hamowanie. Nikt tu nie dawał szans siłom natury. Stano na baczność, ładowano kolejne porcje kroplówek. Monitoring. Wlew. Hamowanie. W końcu założono zabezpieczający szew. Kilka ruchów ostrej, chłodnej stalówki pióra, następuje zawiązanie akcji. – Już witałem się z małym – opowiadał mamie chirurg. – Co Pan mówi, to będzie chłopiec? – Tak tylko żartuję, ale czarna główka taka. Na miesiąc mnie wyratowano. Mama przeleżała kolejny. Katedra Teorii Literatury wykończona, ale na straży. Klinika zapisała się na stałe w tej dość przygodnie rozpoczętej opowieści.

Im starszy byłem, tym łatwiej przełamywałem swoją nieśmiałość. Szybko porzuciłem krępującą z początku wdzięczność zjednoczonym siłom rodzicielskim. Zanim zapragnąłem zastąpić Michnika i kierować największym dziennikiem w kraju, wyobrażałem sobie czyny mniej ekspansywne, jak przejęcie majątku po dziadku. Widziałem oczyma wyobraźni, że stoję za ladą lub oprowadzam dobrze sytuowanych lwowian po zapleczu zakładu meblarskiego i oferuję im mahoniowe stoły, oryginalnie wykańczane barki, kredensy ze szklanymi drzwiczkami albo kanapy z aksamitnym obiciem. Wyobrażałem sobie,

że stoję tak w eleganckim kaszkieciku, z lekko uwydatnionym brzuszkiem, na którym opinałby się flanelowy kraciasty fartuch. Fartuch w kratę, niby roboczy, ale też taki, w którym można się śmiało prezentować w wytwornym sklepie. I wyobrażałem sobie zapach tego sklepu. Zapach zapewne jeszcze po pradziadku, znawcy fornirowania, wyklejania, podmalowywania, podpiłowywania. Do tego, niczym śmietanka na torcie czekoladowym, unosiłyby się ku górze drobne kłębuszki dymu z mojej fajki, pracownicy nabijanej co rano. Kolekcja fajek stałaby oczywiście w gablotce, tak by każdy wiedział, że z kolekcjonerem fajek i smakoszem dobrego tytoniu ma do czynienia. Tak, by każdy wiedział. Byłby to swego rodzaju snobizm, dobry snobizm – bo już odkrywałem, że i taki istnieje. Z tym snobizmem i modą na galicyjskość to bym nie przesadzał, ale trochę bym im podlegał.

Mój zakład byłby najbardziej elegancki i wytworny. Drogi i ekskluzywny, dostępny jedynie dla najbogatszych lwowskich mieszczan. Na ladzie leżałyby zawsze aktualizowane katalogi, z którymi nie rozstawałbym się ani na dzień. I wyobrażam sobie, jak klienci pieją z zachwytem, jak przyjmują każdą sugestię z wdzięcznością i lekkim dygotem podniecenia. Zupełnie nie to co dzisiaj, kiedy każdy sam sobie jest panem, każdy uważa, że o gustach się nie dyskutuje, i każdy myśli, że jak namiesza wszystkiego po trochu, to jest najpiękniej. Namiastką tego zakładu była stara weranda u babci. Weranda, na której dziadek pracował i wykańczał jakieś swoje projekty. Rosnąc w kulcie dziadka, który wszystko naprawi, dziadka, który wszystko skleci, zakradałem się nieraz – wbrew zakazom – na werandę i godzinami buszowałem, odnajdując coraz mniej dla mnie zrozumiałe skarby: śrubki, papiery ściernie, farby, smarowidła i szmatki. Rozmontowałem już niejedno auto i bezlitośnie pozbawiłem karoserii bądź kół. Przecież dziadek wszystko skleci. Ale dziadek już nie żył.

Mój zakład byłby oczywiście przy ulicy św. Marcina. Ach, całe dzieciństwo marzyłem, żeby przejść się po św. Marcina we Lwowie. Uśmiech babci mówiącej o tym, jak chodziła po tej ulicy, jak wychodziła z domu i potem wracała, jak szła do szkoły, jak ją odprowadzały koleżanki, jak patrzyli się na nią chłopcy w krótkich spodniach i wysoko naciągniętych podkolanówkach, wszystko to na długo osadziło się w mojej wyobraźni. Wyraz twarzy babci, wysoko uniesione oczy to były stany błogości, jednak z pełnym niepokojem napięciem, to były stany, które najlepiej mogłem rozumieć. Ja. Wnuk babci, mały brunet.

– Moje najukochańsze czarnulki, wnusie moje, moje – ścisnęła mnie babcia, odnosząc się także do starszego o kilkanaście lat kuzyna. Nie wiem, jak by to było z blondaskami, ale po cóż się miałem nad tym zastanawiać.

Zakład po dziadku był oczywiście całkiem realnym marzeniem, mimo że nie zachowały się po nim żadne dokumenty własności. Jedynie sposób myślenia o nim był kompletnie dziecięcy i na wskroś romantyczny.

* * *

- Powiedz, Ewa, powiedz mi, jak to będzie – pyta mama znajomej pani doktor od Przybyszewskiego i Brzozowskiego.
- Nie będę owijać w bawełnę, poród to piekło.

Mama się bała. Przedzieram się przez różowe upławy pamięci matki i zakłócając porządek natury, rekonstruuje delikatną strukturę naczyń krwionośnych. Całe to napięcie, ucisk, nerwowe oddechy, wydmuchy i parcie. Za drzwiami stał już profesor Bida (najwygodniejszy samochód polonistyki UJ).

- Tu ma być wszystko co najlepsze – ordynowali biegający po korytarzach, zaprzyjaźnieni z literaturoznawcami psychiatrzy, kontrolując w czasie mych narodzin cały oddział położniczy. Katedra Teorii Literatury na posterunku, ci najwierniejsi, zawsze pierwsi, wymiana szlafroka i pyszny domowy serek w słoiku. Zjednoczone siły rodzicielskie uzupełnione o Katedrę Teatru i Dramatu, Katedrę Historii Literatury Staropolskiej, Katedrę Historii Literatury Polskiej XX wieku oraz grupy – zaprzyjaźnionych z Katedrą Historii Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski – psychiatrów, neonatologów w gotowości! To już. Borówa w oczekiwaniu na telefon.

- Nie ma co hamować. Rodzimy!

Ze Śląska rajd z pieluchami rozpoczyna mój trzynastoletni kuzyn, któremu siostra mamy dokładnie opisała tetrowy cel misji. Całość koordynuje nieznosząca sprzeciwu, charyzmatyczna doktor

habilitowana Salaterska. Wsparcia psychologicznego i duchowego udziela zaprzyjaźniony ojciec jezuita, Adam.

– Nigdy nie trać nadziei, jesteś pod Opieką!

Jedziemy! Podczas porodu, którym zarządzał przystojny Pomykało, ustawiono czterech najzdolniejszych asystentów Collegium Medicum. Patologiczna ciąża u blisko czterdziestoletniej kobiety stanowiła niewątpliwie pouczający przypadek. W tym czasie doktor habilitowana Salaterska wydała już polecenia. Plan rozpisany był niezwykle precyzyjnie. Teoria Literatury niezbędna na miejscu. Pozytywiści czyszczą podłogę w naszym mieszkaniu. Historia XX wieku pierze bieliznę, Literatura Staropolska wyparza naczynia w kuchni. Teatrolgia szoruje wannę i dezynfekuje toaletę. Wyprawka zakupiona na kartki (połowa lat osiemdziesiątych) jedzie z kuzynem ze Śląska, Salaterska zawiaduje przechwyceniem cennego materiału na krakowskim dworcu PKS-u vis-à-vis Baru Smok. Jednocześnie samochód profesora Bidy – na rozgrzanym silniku. Po trzech miesiącach akcji ratunkowej w klinice sam poród nie przeciągnął się i nie należał do najcięższych. Bonus w postaci znieczulenia przy zaszywaniu krocza na koniec wieńczył dzieło.

Nerwowy ruch ostrza stalówki pióra prowadzi nas dalej. Po kilku dniach już oboje z mamą znaleźliśmy się w – wypucowanym przez zjednoczone siły rodzicielskie wszystkich katedr Gołębnika – domu. Zaczęło się. Piszmy dalej, piszmy.

* * *

Prawdopodobnie zaczęło się od opowiadań babci. Ha, pamiętasz jeszcze to wszystko? Pamiętasz Bytom? Nie twierdę, że babcia była jakimś autorytetem, wytrawnym komentatorem politycznym czy znawcą historii, ale opowiadała. Poza tym była babcią. To wystarczający powód dla wnuka, aby wierzyć absolutnie w każde słówko, przyjmować wszystko jak dogmat. Tak więc słuchałem. Wierzyłem. Uczyłem się. A Ruskich Babcia nie znosiła. Dzisiaj, po upływie lat, odnoszę się do tych wspomnień z dystansem, niemniej jednak wdzięczny jestem babci za takie doświadczenie. Trzeba z całą mocą podkreślić, że na babcinych kolanach wysłuchiwałem uświęconych fraz polskich: „Przyszły Ruskie, to zabrały”, „Te łotry, Moskaliska...”, „Pakujcie się i wynocha, tak było...”. Zapomniałem nadmienić, że babcia, zmuszona do opuszczenia Lwowa, osiadła na Śląsku. Byle nie na wschód, byle nie na wschód, byle nie „tam”. Babcia była z naszego, polskiego Lwowa, ta joj. Miejsce urodzenia, którego nie ma – Lwów, Polska. Nie bez powodu nigdy do nikogo nie powiedziałem „Ty bolszewiku”. W przedszkolu wielokrotnie, bawiąc się w wojnę, mówiliśmy „Ty Rusku”, wszystko, co było złe, kiepskie, niskie gatunkowo, musiało być „ruskie”. Ale „bolszewik” – nigdy. To funkcjonowało w mojej świadomości jako oszczerstwo wyjątkowego kalibru. Co więcej, jako wyrażenie podłe i wulgarne. Ktoś, kto zagarnia ulicę św. Marcina, i ktoś, kto zamienia zakład mojego dziadka w rudere, ktoś, kto wywozi babcię i wysadza ją na przypadkowej stacji, stawał się moim życiowym wrogiem. Wrogiem egzystencjalnym. To, co działo się w przedszkolu, było zaledwie preludium przyszłej wojny.

Przypis:

[1] Jerzy Pilch, Marsz Polonia, Warszawa 2008, s. 54.